



Pewnego razu wraz z grupą pielgrzymów odwiedziłam włoskie miasto Padwa. Jechaliśmy przede wszystkim do relikwii św. Antoniego – znanego katolickiego kaznodziei, pomocnika w odzyskiwaniu utraconych rzeczy. Po drodze pewna świątynia zwróciła moją uwagę. Na sercu było bardzo przyjemne uczucie: naprawdę chciałam do niej wejść. Było przekonanie, że to właśnie ten kościół z relikwiami świętego, do którego zmierzamy. Jednak autobus przejechał obok i jechał dalej, dalej... Ze smutkiem pomyślałam, że nie będę miała okazji odwiedzić tej świątyni.

Następnie była długa i ciekawa wycieczka po mieście, wizyta w bazylice św. Antoniego z Padwy, spacer po kolorystycznych uliczkach, po Rynku... Potem pielgrzymi mieli około 3 godzin wolnego czasu. Sama, wędrując po nieznanym mieście, trafiłam... do tego samego kościoła, który widziałam, gdy wjeżdżaliśmy do miasta! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Krążyłam dookoła, wahając się wejść. † Przy wejściu do świątyni zauważyłam biały kamień z wyrzeźbionym wizerunkiem mnicha. Wewnątrz, na licznych obrazach, znajdował się również on – mężczyzna niskiego wzrostu (jak się później dowiedziałam, 135 cm). W końcu podeszłam do szklanej trumny, w której znajdowało się ciało tego mnicha. Dotknęłam i zapomniałam o wszystkim. Nie chciałam oderwać swojej ręki od szkła: głęboki spokój całkowicie mnie nappełnił. Udało się znaleźć miejsce do siedzenia obok relikwii. Siedziałam tam tak długo, jak tylko mogłam. Nogi nie chciały nigdzie iść. Czułam, jakby dusza wróciła do domu. Jednak 3 godziny wolnego czasu już się skończyły, i zmusiłam się do opuszczenia kościoła...

Właśnie tak dowiedziałam się o sanktuarium św. Leopolda Mandića – katolickiego kapłana, mnicha kapucyna i znanego spowiednika. Marzył o byciu misjonarzem na Bliskim Wschodzie, aby przywrócić jedność między braćmi prawosławnymi, a także zostać dobrym i miłosiernym spowiednikiem. Z różnych powodów, w tym związanych ze stanem zdrowia, o. Leopoldowi udało się w pełni zrealizować tylko drugie swoje marzenie.

Poświęcił się wszystkim ludziom, odprawiając sakrament spowiedzi 10-12 godzin dziennie. Był dostępny dla potrzebujących w każdej chwili. Wierni szukali kapłana z nadzieją na nieskończoną dobroć Ojca Niebieskiego. Ci, których był spowiednikiem, chwalili niesamowitą cierpliwość mnicha, niezniszczalną delikatność, głębokie zrozumienie, wielkie serce oraz człowieczeństwo w słuchaniu. Jednak bracia kapucyni czasami oskarżali go o nadmierną pobłażliwość, nazywali go „wszystko wybaczącym”. Pewnego razu o. Leopold powiedział z bólem: „Jeśli ktoś klęczy przede mną, czy nie jest to wystarczający dowód na to, że człowiek chce otrzymać przebaczenie od Boga?”. Gdy podczas spowiedzi ktoś był przepełniony łzami lub zaniepokojony wątpliwościami, o. Leopold zwykle mówił: „Bądź spokojny; połóż wszystko na moich ramionach. Zajmę się tym”. Wyjaśnił: „Daję tylko drobne pokuty, ponieważ resztę robię samodzielnie”. W nocy godzinami modlił się, żałował za grzechy innych. Tylko trzy razy w życiu odmówił opuszczenia grzechów, a potem bardzo tego żałował.

Podczas II wojny światowej klasztor ojców kapucynów w Padwie został gruntownie zniszczony. Ocalała tylko cela-konfesjonał, gdzie spowiadał o. Leopold. Sam mnich przepowiedział to kilka lat przed śmiercią: „Miasto dozna wiele ciosów... klasztor również ucierpi... ale ta cela – nie. Tu Pan Bóg okazał wiele miłosierdzia dla ludzkich dusz, a to powinno stać pomnikiem Jego dobroci”. Słynny spowiednik odszedł do wieczności 30 lipca 1942 r.

W tym roku przypada 130. rocznica święceń kapłańskich św. Leopolda Mandyća. Mamy okazje, aby podziękować Bogu za Jego namiestnika, przez którego tysiące wiernych poznało miłosierdzie kochającego Ojca i nadal poznają już poprzez wstawiennictwo świętego w Niebie.